

Codzienna modlitwa uchroniła mnie przed rozpaczą



Urodziłem się w 1954 r. Jestem już w wieku emerytalnym, ale pracuję jeszcze na Uniwersytecie Kardynała Stefana Wyszyńskiego. Ponadto, udzielam się w kilku gremiach rządowo-samorządowych, w których pełnię różne funkcje, np. wiceprzewodniczącego Państwowej Komisji Wyborczej czy członka Rady Służby Publicznej. Mam za sobą sporo doświadczeń zawodowych. Wiele radości daje mi od lat praca ze studentami. Mam za sobą 25 wypromowanych przeze mnie doktorów i kilka tysięcy magistrów. Udało mi się to osiągnąć, bo pracowałem równolegle na kilku uczelniach, w tym na Uniwersytecie Warszawskim, w Krajowej Szkole Administracji Publicznej, w Polskiej Akademii Nauki i na współzałożonej przeze mnie Wyższej Szkole Administracji w Ostrołęce, w której byłem zresztą rektorem przez cztery lata.

FOT. ISTOCK

W latach 2006-2015 pracowałem jako sędzia Trybunału Konstytucyjnego. W przeszłości byłem też m.in. dyrektorem Biura Komisji Sejmowych, wiceministrem spraw wewnętrznych i administracji, sekretarzem Komitetu Ekonomicznego Rady Ministrów. Za tę wielość obowiązków krytykowali mnie członkowie mojej rodziny i mój promotor prof. Jastrzębski, który uważał, że się rozdrabniam. Nie oddałem się jednak pracy naukowej, bo z przykrym zdziwieniem odkryłem, że nikt z moich kolegów z zakładu na Uniwersytecie Warszawskim, na którym pracowałem, nie przeczytał nawet mojej rozprawy habilitacyjnej o prawie administracyjnym. W 1992 r. podjąłem więc decyzję, żeby nie wiązać się wyłącznie z życiem uniwersyteckim. Nie mówię o tym wszystkim, aby się chwalić, ale żeby pokazać, że wziąłem na siebie zbyt wiele pracy, co miało wpływ na moją rodzinę. Może, gdybym wybierał inaczej, pewne sprawy potoczyłyby się inaczej.

Do 1980 r. nie chodziłem do kościoła. Mój ojciec był człowiekiem wierzącym, ale bardzo źle nastawionym do Kościoła. Kiedyś zwierzył się mi, że chodziło o to, iż jeden z bliskich mu księży z czasów okupacji okazał się donosicielem. Podziemie go nawet za to zlikwidowało. Od tamtej pory zerwał z Kościołem, ale nie z wiarą. Kiedy bowiem umarł w 1996 r., to w jego portfelu odnaleźliśmy obrazek z Matką Bożą, pochodzący chyba jeszcze sprzed wojny. Trudno sobie wyobrazić, aby człowiek niewierzący nosił przy sobie taki wizerunek.

W roku 1980 r. poszedłem z pieszą pielgrzymką na Jasną Górę. Nie było wtedy jeszcze pielgrzymki akademickiej, siedłem w grupie 17., chyba biało-amaranto-

wej. Skłoniła mnie do tego śmierć mojej bliskiej koleżanki, Małgosi, która mieszkała na tym samym piętrze co ja. Umarła z powodu przedawkowania alkoholu. Bardzo pragnęła, abyśmy się pobrali. Ta śmierć mną wstrząsnęła. Od tamtej pory nastąpił we mnie czas przemiany. Wiara i codzienna modlitwa sprawiły, że byłem w stanie to wszystko przetrwać. Boję się, że bez tego byłoby bardzo źle. Codziennie czytam naprzemiennie Księgę Rodzaju i Ewangelię św. Mateusza. Od tego czasu nigdy nie opuściłem niedzielnej Mszy świętej i zawsze chodziłem na nią z radością.

W 1983 r. ożeniłem się z Hanią. Wiązą się z nią dwie najbardziej doniosłe sytuacje w moim życiu. Pierwsza jest taka, że mieliśmy dwoje dzieci, syna i córkę. Druga natomiast to ta, że Hania popełniła samobójstwo. Miało to miejsce w 2016 r., pięć lat temu. Okazało się, że była ciężko chora. Miała schizofrenię. Jest z tym związane przeżycie, którego nie mogę zapomnieć. Przed tragiczną śmiercią znajdowała się w szpitalu przy ul. Sobieskiego w Warszawie. Wypuszczono ją na przepustkę. Wszyscy myśleli, że się jej poprawiło, choć mogła też tak grać, że jej lekarz prowadzący nie zauważył jej rzeczywistego stanu. Odwiedziła szpital w piątek, w sobotę, w niedzielę, ale w poniedziałek już tam nie dotarła, bo rzuciła się pod pociąg. Gdyby nie wiara i gdyby nie pomoc ludzi, nie tylko z rodziny, nie wiem, jak by się to dla mnie skończyło. Czułem wówczas także obowiązek wobec dzieci, dlatego jakoś się otrząsnąłem. Co prawda, dzieci były już wtedy dorosłe, bo Kuba miał 32 lata, a Jagoda 29, ale u syna też zdiagnozowano schizofrenię.

Wśród innych bolesnych wydarzeń w moim życiu muszę wspomnieć o śmierci jeszcze jednej mojej bliskiej mi osoby. Nie wspominam o śmierci moich rodziców, dziadków, bo to jest w jakiś sposób rzecz naturalna. Myślę o tragicznej śmierci innej mojej koleżanki, która także mieszkała na tym samym piętrze co ja. Pomimo tych wszystkich trudnych doświadczeń, po 1980 r., kiedy przeżyłem nawrócenie, nigdy nie zwątpiłem. Dopomogła mi codzienna modlitwa, do której wszystkich zachęcam.

Zbigniew Cieślak